



Tytuł oryginału *Iris Grace*

Original English language edition first published by Penguin Books Ltd, London

Text and photographs copyright © by Arabella Carter-Johnson 2016

The author has asserted her moral rights.

All rights reserved.

Illustrations copyright © Alice Tait, 2016

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016

© Copyright for the Polish translation by Magdalena Korobkiewicz, 2016

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl
www.wnk.com.pl

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka nad projektem *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*
Korekta *Roma Sachnowska, Małgorzata Ruszkowska*

ISBN 978-83-10-12872-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.

Wydanie pierwsze

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

Niezwykły talent Iris Grace

Opowieść o małej dziewczynce i jej wyjątkowej kotce



ARABELLA CARTER-JOHNSON

Ilustrowała ALICE TAIT

Przetoczyła Magdalena Korobkiewicz

NASZA KSIĘGARNIA

Pewnego ranka pracowałam nad zdjęciami, a Iris bawiła się w moim gabinecie. Wreszcie spojrzałam na zegar w komputerze i odkryłam, że najwyższy czas ją nakarmić. To dało mi do myślenia. Przez wiele godzin moja córka nieprzerwanie bawiła się książeczkami na podłodze, absolutnie skupiona na tej czynności, oglądając każdą stronę, a następnie odwracając ją palcami rąk lub stóp. Poczułam niezwykłą dumę. Cóż za zdumiewająca koncentracja! Mogłaby się równać z sześciolatką! Później jednak uświadomiłam sobie, że ona przecież wcale nie ma sześciu lat, że jest moją małą dziewczuszką.

Nagle wyjątkowo wyraźnie zaczęłam słyszeć wszystko wokół: szum komputera, szmer odwracanych kartek, własne serce. Biło bardzo szybko, a mnie przeszył dziwny chłód: coś tu było nie w porządku. Iris nie domagała się uwagi przez cały ranek. Podśpiewywałam sobie dziecięce rymowanki w czasie pracy, a ona tak bardzo zajęła się książeczkami... Dotąd nie przyszło mi do głowy, że może jej być obojętne, czy jestem obok, czy też nie. Znajdowała się we własnym świecie, całkowicie pochłonięta kolorowymi stroniczkami.

Prawie się już nie odzywała. Po słowie „tata” wypowiedzianym w wieku ośmiu miesięcy trochę pogaworzyła, ale z upływem czasu cichła coraz bardziej. Ogromnie nas to frustrowało, bo sprawiała wrażenie, jakby mówienie do niczego nie było jej potrzebne. Nauczyłam się odczytywać język jej ciała i wyraz oczu, co odrobinę poprawiło sytuację, ale niektórzy, z dużą życzliwością, zwracali mi uwagę, że milczenie Iris to moja wina. Mówili, że za bardzo ułatwiam jej życie, odgadując potrzeby i pragnienia. Kiedy czegoś chciała, próbowała po to sięgnąć, a jeśli nie dawała rady, natychmiast jej pomagałam, podczas gdy takie sytuacje dawały świetną sposobność do komunikacji werbalnej. Racja, ale nikt nie zdawał sobie sprawy, że próbowałam coś zmienić wiele razy. Iris okropnie się wtedy denerwowała, a ja nie byłam w stanie tego znieść, wyczerpana z powodu braku snu. Łatwo jest dawać dobre rady i oceniać, jednak osoba z zewnątrz widzi tylko wycinek rzeczywistości, nie zaś całość jak rodzice.

Znów wyraźnie poczułam niepokój sprzed paru miesięcy. Co się działo z Iris?



Kiedy nasza córka miała cztery miesiące, odkryła coś, co pokochała tak samo mocno jak książki: Toma i Jerry'ego. Mogła oglądać ich przygody godzinami. Zanim skończyła roczek, mieliśmy już wszystkie odcinki tej bajki. Oglądanie ich sprawiało jej wielką przyjemność, a ja nie widziałam w tym nic złego. Iris była tak łagodnym dzieckiem, że nie mogła wziąć tej brutalnej bajki dosłownie, choć wiele osób okazywało zaniepokojenie z powodu jej szczególnego zainteresowania. Zwłaszcza że histerycznie się śmiała z żartów, całym ciałem żywo reagując na to, co się działo na ekranie. Robiło to takie wrażenie, jakby odbierała bodźce na innym poziomie niż my.

Podobny efekt wywierała muzyka. Kiedy Iris czegoś słuchała, machała rączkami i podkurczała paluszki, poruszając się do rytmu, czując

Tak naprawdę poza domem najbardziej męczyło ją to, że wszystko było nieprzewidywalne: dzieci nagle zaczynały piszczeć lub krzyczeć, klaksony trąbiły, uruchamiały się alarmy samochodowe, ludzie rozmawiali i wołali do znajomych po drugiej stronie parku lub do dziecka, które za bardzo się oddaliło, a w dodatku bez przerwy dzwoniły komórki. Kiedy zachodziliśmy do kawiarni, ekspresy syczały i postukiwały, dzwoniły sztucce i zgrzytały przesuwane krzesła. Iris wycofywała się i płakała, gdy niepożądane głośne dźwięki odbijały się echem dookoła niej. Po niedzielnym obiedzie u moich rodziców tata miał zwyczaj podkręcać dźwięk w telewizorze, jeśli akurat trwał sezon Formuły 1, a wtedy Iris stawała się nadpobudliwa, hałas działał jej na nerwy. W takich kłopotliwych sytuacjach z trudem powstrzymywałam się, by nie zabrać małej z powrotem do domu, gdzie przynajmniej mogłam do pewnego stopnia zapanować nad otoczeniem i ograniczyć irytujące bodźce. W efekcie całymi tygodniami unikałyśmy miejsc publicznych. Czułam się odcięta od świata. Za to większość weekendów spędzałam na spotkaniach z klientami lub fotografując śluby; moje życie podzieliło się na dwie przeciwstawne strefy: w pracy nieustająco przebywałam z ludźmi, aż do przesytu, z kolei przez resztę tygodnia byłam całkowicie od wszystkich odizolowana.

Iris najbardziej lubiła siedzieć w domu lub jeździć ze mną, kiedy szukałam nowych fajnych miejsc ślubnych, przeprowadzałam sesje zdjęciowe lub po prostu oglądałam kościoły i ogrody. Bardzo szybko stało się jasne, jak wiele radości daje jej przebywanie wśród zieleni. Tylko tam czuła się tak dobrze, że nie musiała uciekać w świat książek. Obie byłyśmy wtedy szczęśliwe. Razem patrzyłyśmy na kwiaty, a ja opowiadałam jej o nich. Także codzienne spacerki przynosiły mi ulgę: mogłam wyrwać się z domu i pchać po wiejskich drogach wózek z Iris, która zafascynowana przyglądała się niebu. Tu również nie obyło się jednak bez problemów: pod żadnym pozorem nie zgadzała się mieć na stopach ani skarpetek, ani butów. Kiedy było zimno, boleśnie odczuwałam pełne dezaprobaty spojrzenia napotkanych osób. Pod ich wpływem próbowałam nakrywać ją kocykiem, ale drobne różowe stópkki zaraz wyskakiwały na chłodne powietrze jak diabeł z pudełka.

Latem 2010 roku, kiedy Iris skończyła dziesięć miesięcy, próbowaliśmy ją zabierać na różnego rodzaju wycieczki i zorganizowane zabawy, ale za każdym razem napotykaliliśmy te same trudności. Najwyraźniej u ich źródła leżała niechęć do przebywania wśród ludzi, a zwłaszcza rówieśników. Nasza córeczka bardzo źle znosiła przypadkowość i nieprzewidywalność dziecięcych zachowań. Wtedy zaczęłam wreszcie szukać odpowiedzi, chciałam się dowiedzieć, dlaczego akurat dla Iris życie stanowi takie wyzwanie. P-J też dostrzegł, że z małą dzieje się coś złego. Stwierdził jednak, że Iris nie ma problemów ze słuchem, po tym jak przeprowadził w domu kilka zaimprovizowanych prób. W czerwcu zmarł jego ojciec i dla całej rodziny nastał bardzo trudny czas. Ta śmierć była olbrzymim wstrząsem, P-J bardzo ją przeżył. Poza tym spadły na niego wszystkie formalności: zorganizowanie pogrzebu, przeprowadzenie postępowania spadkowego, załatwianie różnych spraw. Nie chciałam go dodatkowo obciążać, więc tymczasem szukałam na własną rękę.

Na szczęście miałam oparcie w mamie. Kiedy stanęłam na jej progu cała we łzach po kolejnej katastrofalnej próbie socjalizacji Iris, nie mogłam dłużej zaprzeczać, że moja córka różni się od innych dzieci. Jak obuchem uderzyła mnie świadomość, że coś jest z nią poważnie nie tak. Już wcześniej byłam zaniepokojona, ale łudziłam się, że po prostu potrzebuje więcej czasu, że rozwija się w innym tempie. Coraz bardziej jednak zostawała w tyle za rówieśnikami, a ja czułam się coraz gorzej, chociaż udawaliśmy, że nic się nie dzieje. Zupełnie jakbym prowadziła podwójne życie. Wciąż mówiłam ludziom to, co chcieli usłyszeć: że wszystko jest w porządku, że mamy się świetnie. Uśmiechem pokrywałam to, co czułam naprawdę, ale był to uśmiech wymuszony. Na początku szło mi dużo łatwiej – Iris była taką śliczną dziewczynką, wszyscy rozczulali się na jej widok, a ja zawsze znajdowałam wiarygodną wymówkę dla jej zachowania w towarzystwie: „Miała ciężką noc”, „Ząbkuje”, „Brzuszek ją boli”, „Zapomniałam jej ulubionej zabawki”... Teraz jednak stanęłam na krawędzi przepaści. Nie mogłam dłużej udawać.





A-Where-Wa (tytuł nadany samodzielnie przez Iris), akwarela, październik 2013

Cały wieczór zawzięcie omawialiśmy ten temat. Zastanawialiśmy się, dlaczego Iris tak się zapaliła do malowania, zauważyliśmy, jak łatwo się z nią porozumieć, jak bardzo się zmieniła. Z każdym kieliszkiem wina rósł nasz entuzjazm. Przyjemnie było dla odmiany skupić się na czymś fajnym, zamiast przegadywać następny problem. Nie mogłam wyjść z podziwu, bo kompletnie nie mieliśmy wpływu na to, co się działo. Iris po prostu sięgała po pędzel, kiedy miała ochotę; to była jej decyzja, nikt jej nie namawiał. Ja musiałam tylko grzecznie stanąć obok i zaczekać, aż trafi się okazja do interakcji lub zajdzie potrzeba usłużenia artystce. Czułam się, jakby ktoś zdjął mi ramion wielki ciężar, i znowu mogłam odetchnąć pełną piersią.

Niezależnie od tego, co robiłyśmy, dotąd zawsze przychodził moment, w którym Iris chciała zostać sama. Teraz jednak wręcz nalegała, abym jej towarzyszyła. Stałam się integralną częścią procesu twórczego, bo pomagałam jej uzyskiwać kolory, o jakich marzyła. Skorzystałam z okazji, by wprowadzić do naszej relacji więcej słów, a ona zareagowała na to tak dobrze, że zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, jak jeszcze spożytkować tę najnowszą pasję. Uznałam, że muszę zacisnąć zęby i zapomnieć o porządku w kuchni. Było to ostatnie miejsce w pełni należące do nas, ludzi dorosłych, do tej pory niewykorzystywane do celów terapeutycznych. P-J i ja spędziliśmy tam spokojne poranki, gotowaliśmy, prowadziliśmy nasze najpoważniejsze rozmowy, a nawet – rzadko – podejmowaliśmy przyjaciół, teraz jednak dostaliśmy szansę, którą żał byłoby zaprzepaścić. Od tej pory stolik kawowy miał stać na środku kuchni przez cały czas, dostępny dla Iris, kiedy tylko sobie zażyczy, nawet wczesnym rankiem lub późnym wieczorem. Duży stół wcisnęliśmy w kąt obok pieca, gdzie niestety nie prezentował się najlepiej; P-J trochę narzekał na tę zmianę, ponieważ bez przerwy uderzał się w goleń.

Dokupiłam więcej narzędzi, gąbek, pędzli i farb, aby Iris mogła eksperymentować do woli. Byłam tak podniecona tym nowym, obiecującym przedsięwzięciem, że nabrałam sił i nagle przestałam czuć zmęczenie. Wydawało mi się, że mogę wszystko i że Iris jest zdolna do wszystkiego. P-J obserwował od progu, jak Fasolka biega tam i z powrotem, dobierając kolory, przerywając pracę, oddalając się o krok, by dokonać

oceny, i zaraz wracając do swojego najnowszego arcydzieła. Nie mógł uwierzyć, jak celowe i przemyślane są jej działania.

Następnego ranka przyjechała moja mama z zapasami i bukietem kwiatów do kuchni. P-J usłyszał otwieranie bramy i również zrobił sobie przerwę na filiżankę herbaty. Patrzyliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się od ucha do ucha. Iris krzątała się przy stoliku, na którym stały się plamy błękitu i czerwieni, przechodząc to w róż, to w fiolet. Nagle powiedziała: „Kula”, zanurzyła pędzel w białej farbie i przytknęła go do papieru. Zakręciła nim, tworząc okrągły punkt w prawym rogu, a potem drugi bliżej środka. Kilka razy przeciągnęła pędzlem w poprzek kartki, pozostawiając na niej coś na kształt jasnego strumienia powietrza. Obraz zajmował całą dostępną jej przestrzeń, czyli blat stolika o długości 120 centymetrów. Kiedy piliśmy herbatę, mama zagadnęła Iris raz czy dwa. Nikt z nas nie został odepchnięty; mała była dumna i zadowolona, że o niej rozmawiamy. P-J i ja przyglądaliśmy się jej, nie wierząc własnym oczom. To była nasza Iris? Taka pewna siebie i asertywna, świadoma tego, czego pragnie i jak ma nam to pokazać?



Toczące się kule/Rolling Balls, akryl, marzec 2013

Przybycie Thuli odmieniło nasze poranki. Iris, której kiedyś nie można było dobudzić i która była dość marudna przed dziewiątą, teraz wyskakiwała z łóżka jak sprężyna. Budziła się z szerokim uśmiechem i ze swoją nową przyjaciółką u boku, a potem powtarzała: „Więcej kota”, kiedy szła za nią po schodach. Ciągła obecność Thuli i jej łagodny charakter niemal natychmiast wywarły na Iris wielkie wrażenie. Mała zaczęła wydawać polecenia. „Siad, kocie” – mówiła na przykład, kiedy Thula usiłowała się bawić jej iPadem, i robiła to z taką udawaną surowością, że zwierzątko posłusznie siadało, schludnie składając razem przegowane łapki. W przeciwieństwie do większości swoich rówieśników Iris wcale nie potrzebowała ciągle szarpać, głaskać i brać na ręce kotki. Ich związek opierał się na dotrzymywaniu sobie towarzystwa. Thula z wielkim zainteresowaniem obserwowała bawiącą się dziewczynkę, dołączając do niej, kiedy tylko się dało. Gdy Iris bawiła się ciastoliną na stole, koceczka siedziała obok i naśladowała jej ruchy. Nie wierzyłam własnym oczom: to maleństwo najwyraźniej stosowało podstawowe reguły terapii przez zabawę. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej utwierdzałam się w przeświadczeniu, że kot jest idealnym przyjacielem dla dziecka ze spektrum. Te dwie dziewczyny rozumiały się instynktownie, a było to coś, do czego ja dążyłam z ogromnym trudem. Niezaprzeczalnie powstawała między nimi silna więź, o której marzyliśmy od dawna; zobaczenie tego na własne oczy okazało się niesamowitym przeżyciem.

W spojrzeniu Thuli było coś urzekającego; może dlatego Iris najwyraźniej nie miała nic przeciwko utrzymywaniu z nią kontaktu wzrokowego. Oczy kotki, które czasami wydawały się zielonkawożółte, a innym razem niebieskie, były pięknie obrysowane ciemną, rozmażaną po bokach konturówką. Oprócz okazałych wąsów Thula miała też do kompletu długie wibrysy nad brwiami. Podobnie jak ogon miały one swój charakter i były pełne życia; kiedy coś ją zainteresowało, wysuwała je naprzód, jakby chciała pochwycić tę rzecz.

Gdy Iris budziła się w środku nocy, Thula była tuż obok i zaraz ją uspokajała. Zupełnie jakby instynktownie wiedziała, co robić. Przynosiła w pyszczku jakąś niedużą zabawkę, a Iris obracała ją przez chwilę w palcach i wydawało się, że ten nieznaczny ruch pozwala jej pozbyć



się napięcia. Później Thula przytulała się mocno i mruczała, dopóki Iris spokojnie nie zasnęła. Patrzyłam na to od progu; gdybym weszła do sypialni, mała wyciągnęłaby ramiona, prosząc o zanieśienie na dół, i wskazałaby mi kierunek samym przeniesieniem środka ciężkości ciała, całkiem jak podczas jazdy na motorze. Ale z Thulą przy boku czuła się na tyle dobrze, że zostawała w łóżku i dawała się ukołysać do snu, zamiast kręcić się po domu. Z kolei kiedy zdenerwowała się w ciągu dnia, Thula wcale się nie bała, zostawała przy niej i odwracała jej uwagę od zaznanej przykrości.

Dotychczasowe doświadczenia ze zwierzętami nauczyły mnie, żeby niczego nie zakładać z góry i pozwolić się zaskoczyć. Postanowiłam więc



zacząć działać, żeby zapewnić Thuli bezpieczeństwo, w razie gdybyśmy mieli ją częściej przewozić samochodem lub w rowerowym koszyku, i kupiłam kocie szelki. W ten sposób mogliśmy wygodnie prowadzić kotkę na smyczy, a i Iris miała coś do trzymania w ręczce. Kiedy tylko założyłam uprząż, Thula od razu wiedziała, do czego ona służy. Usiadła przed Iris, pozwalając jej na dokładne obejrzenie szelek, a sama najwyraźniej przyjęła to za znak, że jest w pracy, i nosiła je z dumą. Ze smyczą nie poszło równie łatwo. Za każdym razem gdy próbowałam ją docześcić do uprzęży i zabrać Thulę na przechadzkę, kotka patrzyła na mnie szczerze zdumiona. Lecz kiedy to Iris sięgała po smycz, historia wyglądała zupełnie inaczej. Thula radośnie spacerowała wówczas po skutym

lodem ogrodzie. Jej łapki po raz pierwszy dotykały zmrożonej trawy, więc stawiała je ostrożnie, ale nie próbowała się oddalić od swojej przyjaciółki. Szybko zrozumiałam, że jej skłonność do poświęceń nierozważalnie wiąże się z osobą Iris.

W stosunku do P-J-a i mnie okazywała najdalej posuniętą zuchwałość.

– Thula, wracaj! – krzyknął P-J, a pręgowany pocisk śmignął obok mnie z czymś, co wyglądało na bochenek chleba.

– Czy to było...?

– Aha. Nasze śniadanie. Zwinęła chleb.

I nic się nie dało z tym zrobić, ponieważ zdążyła już usłać okruchami pieczywa całą podłogę pralni.





Niebieska Namazzi/Namazzi Blue, akwarela, styczeń 2014

mojej nogi i wylądowała na brzegu wanny, by następnie zeskoczyć na podłogę. Otrząsnęła się, a długi ogon, teraz nadspodziewanie cienki, nadał jej cokolwiek nieproporcjonalny wygląd. Wybuchnęłam śmiechem. Potem zaczęło się czyszczenie, wylizywanie i suszenie futerka, co potrwało dobrą chwilę, aż wreszcie Thula znowu wyglądała jak dobrze mi znany kociak.

Porzuciłam myśli o lekcjach na następny dzień, zaabsorbowana nowym odkryciem. Thula lubiła wodę, naprawdę ją lubiła! Oczywiście już się bawiła pianą w zlewie, ale tym razem posunęła się dalej, niż śmiałabym marzyć. Kiedy dowiedziałam się o istnieniu tej rasy, odkryłam też legendy dotyczące jej pochodzenia. Niektórzy twierdzili, że maine coony wywodzą się od norweskich kotów leśnych i zostały przywiezione do Ameryki przez wikingów. Ktoś przytaczał historię kapitana Charlesa Coona, angielskiego podróżnika, który przyплыł do wybrzeży Nowej Anglii ze stadem długowłosych kotów na pokładzie. Thula zachowywała się w wodzie zupełnie swobodnie, absolutnie niespieszona, zupełnie jakby to było jej naturalne otoczenie, co kazało mi przypuszczać, że te historie mogą zawierać ziarno prawdy.

Mój umysł pracował na wysokich obrotach. Kąpanie Iris było niewyobrażalnie trudne i stresujące dla nas wszystkich. Nie mogłam wręcz patrzeć na to, jak mała cierpi, a próbowaliśmy już naprawdę wszystkiego. Sądziliśmy, że problemem jest jej nadwrażliwość na bodźce, ale żadna terapia nie przyniosła rezultatów. Skoro jednak Iris bez problemu bawiła się w zlewie, może chodziło o zwykłą fobię, spowodowaną jakimś drobiazgiem, który umknął mojej uwadze? Czyżby Thula miała stanowić na to lekarstwo?



– A więc jaki mamy plan? – zapytał P-J. Wysłuchał wyjaśnień i wcale nie wyśmiał mojego wielkiego odkrycia, czego się trochę bałam. Był zaintrygowany i rozumiał, co chcę osiągnąć.

– Pomyślałam, że nakłonię Thulę, by znów zajrzała do łazienki, i zobaczę, jak się sprawy ułożą. Może po prostu wskoczy do wody jak ostat-

nio? Warto spróbować. Nie sądzę, by cokolwiek mogło pogorszyć sytuację, a sama Thula nie zrobi nic, na co nie będzie miała ochoty. No i jestem pewna, że nie sprawi przykrości Iris.

Podjęłam próbę przy następnej kąpeli. Z początku wydawało się, że plan nie wypali. Walczyłam, by zatrzymać Iris w wannie: rozplakała się, gdy tylko jej ciało dotknęło powierzchni wody. Thula wpadła do łazienki i zaraz znowu z niej wybiegła. Usiłowałam rozproszyć córkę całą baterią zabawek, które trzymałam w pobliżu. Jedna po drugiej trafiały na bok, były ustawiane w rzędku i obrzucane gniewnym spojrzeniem, a towarzyszyły temu krzyki. Iris ciągle odwracała się ku mnie, żeby sprawdzić, czy mam coś lepszego. Wreszcie jednak skończyły mi się i zabawki, i pomysły. Wrzaski stały się nie do zniesienia i doszłam do wniosku, że muszę na razie zrezygnować ze swojego zamiaru. Najwyraźniej plan nie zadziałał, a ja zaczynałam się martwić o bezpieczeństwo Iris, bo raz jeszcze spróbowała mi się wyrwać. Aż nagle do łazienki wróciła Thula: niosła broszkę, którą się wcześniej bawiły. Wskoczyła na wannę i zaczęła trącać ozdobę łapką. Iris zobaczyła ją i zamilkła. W końcu zapanowała cisza i znowu byłam zdolna do myślenia. Usiadłam i ostrożnie wzięłam głęboki oddech, nie chcąc zakłócić tej chwili spokoju, a wtedy Thula dała nura.

Nie mogłam przywyknąć do widoku kota tak swobodnie traktującego wodę i wskakującego do niej zupełnie od niechcenia. W tym momencie





kochałam Thulę z całego serca; zadziwiła mnie i dała wspaniałe przedstawienie. Wanna nie była nawet w przybliżeniu tak pełna jak wtedy, gdy ja w niej leżałam, więc nie musiała pływać, mogła po prostu stanąć przy Iris, która natychmiast powiedziała: „Cześć, kocie” i wyraźnie się uśmiechnęła. Na ten widok łzy napłynęły mi do oczu. Tak pragnęłam, abyśmy znowu mogły zwyczajnie się kąpać i cieszyć wspólnie spędzonym czasem, tęskniłam za tym i potwornie mi tego brakowało. Nieważne, jak okropny miałyśmy dzień, kiedyś zanurzenie się w ciepłej wodzie przy dźwiękach muzyki rozwiązywało wszystkie problemy i przywracało spokój w naszym

małym świecie. Teraz nagle to odzyskałam. Iris tak rozbawiło wskoczenie kotki do wanny, że zapomniała o swoich lękach i zaczęła się wesoło bawić.

P-J akurat przechodził obok łazienki. Wyszłam i go zawołałam.

– Chodź, zobacz.

Uśmiechałam się od ucha do ucha, więc od razu zgadł, że nasz plan zadziałał.

– O rety! To nadzwyczajne! – Podszedł do wanny i pogłaskał Thulę, która właśnie trącała łapą morskie stworzenia z kolekcji zabawek Iris. – Co będzie następne, nauka pływania?

– Zabawne. Właśnie o tym pomyślałam.



*W samym sercu ogrodu jest ich troje: Iris, Thula i pieniek.
To świetne miejsce, by pomyśleć, posiedzieć w ciszy i odnaleźć
spokój w zagonionym i czasami zagmatwanym świecie.
Nadciągają burzowe chmury, wotam więc Iris do domu. Thula
biegnie za przyjaciółką i zajmuje swoje stałe miejsce na stoliku
do malowania. Zaczyna mruczeć, kiedy Iris miesza farby na
papierze. Na ich ogrodowe królestwo spadają ciężkie krople.
Kotka i dziewczynka chwilę patrzą przez okno na ciemniejący
pieniek, moknący na deszczu. W kuchni przybywa warstw farby
i wytaniają się subtelne szczegóły, gdy Iris używa pieczętek
i gąbek albo skrobie po powierzchni, odkrywając jasne kolory pod
ciemnym błękitem. Pojawia się obraz: kocia twarz wśród cieni.
Więź dziecka i zwierzęcia jest tak silna, że musiała zaistnieć
też w sztuce; jest to więź pokonująca granice, ujawniająca
ukryty za nimi talent.*